

Andrzej Pilipiuk

2586 króków

Bergen, zima 1876/77r.

Co za diabelne zimno – jęknął doktor Paweł Skórzewski, nakrywając się dokładniej skórą z renifera.

Mówił sam do siebie już od wielu godzin. Nie był w stanie się powstrzymać, podobnie jak nie umiał opanować dreszczy. Pasażerowie osadzonego na płozach dylizansu dawno przestali zwracać uwagę na mruczącego pod nosem cudzoziemca. Na zewnątrz było ciemno, lekarz nie wiedział, czy jest noc, czy może dzień. Namacał za pazuchą piersiówkę i pociągnął niewielki łyżek palącej petersburskiej wódki. Zadrżał. Alkohol rozgrzał go tylko na chwilę.

Zamarzną, pomyślał. Zamarzną i nigdy nie dotrę do tego całego Bergen...

Wiatr, uderzywszy w cienkie ściany pojazdu, zachichotał ponuro. Doktor spojrzął na zegarek. W słabym świetle kiwającej się pod sufitem latarki z łojową świeczką cyferki na porcelanowej tarczy dwoiły się i troiły. Z trudem zogniskował wzrok. Od ostatniej zmiany koni upłynęły trzy godziny. A zatem już niedługo. Siedzący naprzeciwko młodzieniec trącił delikatnie dłonią jego kolano.

– Wkrótce będzie pan na miejscu – powiedział po niemiecku, potwierdzając nieśmiało domysły. – Jesteśmy już na przedmieściach.

– Skąd pan wie? – zdziwił się Skórzewski.

– Zjechaliśmy właśnie na dno doliny. Proszę posłuchać wiatru.

Faktycznie, wichura wyła, nie napotkawszy żadnych przeszkód. Teren wokół dylizansu musiał być płaski i otwarty.

– Jak wy to wytrzymujecie? – zapytał Paweł.

– Jesteśmy przyzwyczajeni. Zresztą wcale nie jest tak zimno. Tylko piętnaście stopni mrozu.

Skórzewski usłyszał dziwny dźwięk. Dopiero po chwili zorientował się, że to szczekanie jego zębów.

– To Norwegia. – Uśmiechnął się jego rozmówca. – Złe miejsce, by zwiedzać je zimą.

Musiał przyznać mu rację. A przecież ostrzegano go. Mógł zostać w Oslo. Mógł poczekać na odwilż... Ale pojechał. Kilkaset kilometrów przez wysokie przełęcze. Miał tydzień opóźnienia, tyle stracili, przeczekując zamiecie. Przymknął oczy i zmęczenie natychmiast zwyciężyło. Śnił... Łany dojrzałego zboża chwiały się w lekkich podmuchach letniego wiatru. Na błękitnym niebie świeciło cudownie ciepłe słońce...

Obudził się natychmiast, gdy ustał ruch dylizansu. Pasażerowie tłoczyli się w stronę wyjścia. Przez otwarte drzwi wdarł się strumień lodowatego powietrza. Doktor z wysiłkiem odrzucił skórę i założył na siebie ciepły płaszcz podróżny z wielbłądziej wełny, na którym dotąd siedział. Głowę nakrył karakułową papachą. Powoli, ostrożnie wyszedł na zewnątrz. Skóra na policzkach momentalnie zaczęła go piec. Odetchnął kilka razy i stopniowo zaczął dochodzić do siebie. Rozejrzał się zażawionymi od mrozu oczyma. Zasypany śniegiem podjazd, nieludzko zmęczone konie narzucono derkami, woźnica w ciężkiej, niedźwiedziej szubie właśnie dziarsko zeskoczył z kozła. Chłopak w uniformie zdejmował z dachu walizy i pakunki. Przed drewnianym budynkiem stacji chwiały się na wietrze szyld. Bergen.

Doktor spojrzął na swój bagaż. Nie miał pojęcia, jak daleko jest do szpitala. Trzeba będzie nająć sanki. Nieoczekiwanie ktoś mocno uściśnął jego dłoń.

– Armauer Hansen. – Usłyszał. – Pomyślałem, że wyjdę po pana, panie kolego. Witamy w Bergen.

– Miło mi. Paweł Skórzewski. – Z trudem uniknął odgryzienia języka, szczęka kłapała mu jak pułapka na myszy.

Z wysiłkiem uniósł głowę. Doktor Hansen nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Skóra twarzy pociemniała mu od słońca i mrozu, błękitne oczy płonęły dziwnym blaskiem.

– Widzę, że trudy podróży dały się, panie kolego, we znaki – powiedział z troską. – Szpital jest dwie ulice stąd. Zaraz będziemy na miejscu.

Zapakował dwa kufry i okutą na rogach walizkę gościa na lekkie sanki, które przyprowadził ze sobą.

– Przepraszam za spóźnienie...

– Nic nie szkodzi. Domyślałem się, że śnieg was zatrzymał. Czasem szlak zamiera na całe tygodnie. Ale obiecują, że za dziesięć lat dotrze do nas linia kolejowa. Jak wyglądają zimy u was, w Polsce? – zapytał.

– Jest znacznie cieplej – wyjąkał, szczękając zębami, Skórzewski. – I nie wieje tak strasznie. Poza tym ta polarna noc...

Gospodarz uśmiechnął się lekko.

– No, nie przesadzajmy. Tu, w Bergen nie mamy polarnych nocy. Po prostu o drugiej po południu zapada zmierzch...

Weszli pomiędzy domy. Paweł, pomimo ciemności i łzawienia oczu, spostrzegł, że wszystkie budynki przy ulicy wzniesiono z drewna. Pomalowane na biało lub jasnozielono, sprawiały smutne wrażenie. Obito je cienkimi, zachodzącymi na siebie deskami. Przypominało mu to konstrukcje klepkowych łodzi, które widział, praktykując na Polesiu.

W wielu oknach paliło się światło. W środku ludzie siedzieli przy ciepłych kominkach, pili kawę, rozmawiali lub bawili się z dziećmi. Zacisnął zęby i, aby uwolnić się choć częściowo od rzeczywistości, zaczął liczyć kroki. Zrobił ich dwa tysiące pięćset osiemdziesiąt sześć... Półtora kilometra.

Niebawem zatrzymali się koło niewielkiej bramy. W mroku spostrzegł jeszcze wznoszącą się tuż obok drewnianą wieżę.

– Kaplica przyszpitalna – wyjaśnił gospodarz.

Zakutany w kożuch strażnik bez słowa wpuścił ich do środka. Doktor Hansen wzięł oba kufry, jakby nic nie ważyły, po prostu zarzucił sobie po jednym na każde ramię. Przybysz zaopiekował się swoją walizką i ruszył w ślad za nim. Budynki szpitala z trzech stron otaczały spory dziedziniec. Od ulicy czworobok zamykała ta niewielka, drewniana kaplica. Weszli na podwórze. Leżało tu około metra śniegu. Tylko od bramy do drzwi wejściowych przekopano wąską ścieżkę, wysypaną obficie popiołem.

Hansen szedł jak baletnica, balansując kuframi; jeden był znacznie cięższy, więc trudno mu było utrzymać równowagę. Skórzewski ciągnął walizkę po śniegu. Nie miał siły jej dźwigać. W jednym z kątów podwórza leżało kilka pakunków, zawiniętych w szare płótno, pokrytych szronem. Szóstym zmysłem wyczuł śmierć.

– Nie mamy możliwości grzebania ani palenia zwłok przy takiej pogodzie – powiedział norweski lekarz. – Na razie leżą zamrożone w śniegu. Gdy nadejdzie wiosna, wywieziemy je na cmentarz za miasto i spopielimy.

Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Znaleźli się w sporej sieni. Pachniało gotowanym mięsem i płonącym drewnem, ale przez te miłe wonie przedzierał się fetor karbolu, eteru i rozkładających się ciał.

Skręcili w lewo i po wąskich, trzeszczących schodkach weszli na piętro. Powietrze było cudownie ciepłe. Skórzewski czuł, jak życie mu wraca, serce biło mocno i równo. Znowu miał czucie w palcach. Hansen pchnął jeszcze jedne drzwi i znaleźli się w niewielkim, gustownie urządzonej saloniku. Lekarz bez wysiłku postawił kufry na podłodze. Przekręcił zawór i zapalił gaz w lampie. Pomieszczenie zalało przyjemne światło.

– To pokój gościnny. Obok jest łazienka. Kolację zaraz przyniosę.

Gość z ulgą zrzucił z siebie zeszywniały od mrozu płaszcz i gruby sweter. Zzuł ciężkie, wykładane futrem buty. Wyciągnął się wygodnie w fotelu, chłonał ciepło i światło każdą komórką ciała. Po chwili wrócił Norweg. Przyniósł dzbanek kawy, półmisek z mięsem i wędzoną rybą oraz niewielką patere z pieczywem. Skórzewski popatrzył na posiłek z obawą.

– Doktor Danielsen już niestety śpi – rzekł Hansen. – Miał dzisiaj ciężki dzień.

Zasiedli przy stoliku. Pierwszy kęs okazał się nieoczekiwanie trudny do przełknięcia. Skórzewski czuł, jak kanapka z łososiem rośnie mu w ustach. Jeść tutaj? W takim miejscu? Zaczęło go ogarniać przerażenie. Dziki, pierwotny, zwierzęcy lęk. Wiedział, że prawdopodobieństwo zarażenia jest minimalne. Wiedział, że choroba najprawdopodobniej nie przenosi się przez żywność. A jednak nie potrafił się przełamać. Hansen zauważył, co się dzieje, bo dotknął uspokajająco jego ramienia.

– Proszę się nie obawiać. Posiłki przynoszą nam z miasta.

Nagle odczuł ulgę. Pożywienie odzyskało swój smak. Odetchnął.

– Tu gotujemy tylko dla chorych – wyjaśnił gospodarz. – Zresztą jutro będzie sporo czasu, wszystko panu pokażę.

Skórzewski kiwnął głową. Ciepło rozleniwiło go zupełnie. Trudy podróży dały o sobie znać. Godziny, dni i tygodnie spędzone na niewygodnej ławce dyliżansu, mróz, te drobne łyki alkoholu, sączone niemal bez przerwy przez ostatnie kilka godzin... Powieki zaciążyły mu ołowiem.

– Przepraszam – powiedział. – Chyba muszę iść spać.

Hansen uśmiechnął się ze zrozumieniem. Dopił swoją kawę i wyszedł. Paweł powoli rozluźnił krawat i popatrzył przez okno na wąski zaułek, obiegający od tej strony szpital. Szyby były bardzo grube, zarośnięte kwiatami mrozu, ale przez wychuchaną przetainę zauważył, że po drugiej stronie ulicy ktoś stoi. Postać była niewysoka, momentami ginęła w zadymce, to znów rysowała się wyraźniej. Twarz nieznanego skrywał gęsty cień, ale lekarzowi nieoczekiwanie wydało się, że obcy gapi się prosto w jego okno. Cofnął się odruchowo w głąb pokoju, a gdy spojrział ponownie, trotuar był pusty. Tylko wiatr przeganiał po bruku kłęby śniegu. Dwie minuty później lekarz spał jak zabity, tuląc głowę do miękkiej poduszki, wypchanej puchem dzikich gęsi. Gdzieś pomiędzy belkami wiązań dachowych ganiały się szczury...

*

Wicher nieco osłabł, ale mróz wzmógł się jeszcze. Doktor obudził się nad ranem. Przez chwilę leżał, zastanawiając się, gdzie jest, gdy niespodziewanie jego uszu dobiegł jęk. Dźwięk, który prawdopodobnie przed chwilą wyrwał go ze snu, przebił ściany i stropy.

Płynął gdzieś z głębi budynku. Jęczący człowiek umierał. Paweł niechętnie wygrzebał się z łóżka i zapalił świecę. Ubranie wisiało na oparciu krzesła, ale dłuższą chwilę wahał się, czy powinien iść, czy raczej zostać w pokoju. Wreszcie poczucie obowiązku przeważało. Po trzeszczących schodkach zszedł na parter. Z sieni skręcił na lewo i stanął u końca długiego korytarza. Spod jednych drzwi biła wąska smuga światła. Zapukał.

– Wchodzić! – odpowiedziano ze środka po norwesku.

Poczuł zapach śmierci, potworną woń rozkładającego się ciała. Przez chwilę stał w progu, nim zdecydował się go przestąpić. Hansen siedział przy pacjencie na niewielkim taborecie. W głębi pokoju przy stoliku starszy wiekiem lekarz napełniał strzykawkę białym, mętnym płynem.

Spoczywający na łóżku chory zacisnął zęby. Doktor podszedł, odsłonił kawałek kołdry i zreżymnie wkuł się w grubą żyłę na ramieniu. Skórzewski przez chwilę widział dłoń umierającego, pozbawioną palców, pokrytą guzami i przebarwieniami. Tkanki rozpuszczały się, rany zabiżniały z trudem. Trędotawy przymknął oczy, a po kilku minutach na jego twarzy odmalowała się ulga. Dopiero teraz Polak zauważył, że obaj lekarze założyli na ręce cienkie, niciane rękawiczki.

– Daniel Danielsen – przedstawił się siwy mężczyzna, odkładając strzykawkę na stolik. – Wybacz pan, panie kolego, że nie podaję ręki, ale przy naszej specjalności gest ten dziwnie wychodzi z użycia. – Mówił zabawnie po niemiecku, przeciągając i zmiękczając niektóre końcówki.

– Paweł Skórzewski. – Uśmiechnął się gość.

– Morfina – wyjaśnił Hansen, widząc pytające spojrzenie. – Nowy środek o potężnym działaniu przeciwbólowym.

– Znamy go już – odrzekł Paweł. – Ale ciągle znacznie częściej podajemy doustnie opium.

– Opium? – zdziwił się Danielsen.

– Laudanum – wytłumaczył mu Hansen.

– Mam nadzieję, panie doktorze, że otrzymał pan mój list rekomendacyjny od Petersburskiego Towarzystwa Lekarskiego? – zagadnął Skórzewski.

– Owszem. Bardzo się cieszę, mogąc pana tu widzieć. Wymiana doświadczeń przyda się wam obu. – Wskazał gestem Hansena.

– Agonia? – zainteresował się Paweł, zerkając na pacjenta.

– Tak. Wyjątkowo paskudny przypadek. Sześć miesięcy i śmierć. Pożyje najwyżej do jutra. Niech pan spojrzy na rany po owrzodzeniach.

– Zbladły i częściowo pozamykały się? – upewnił się. – Znam te objawy. Oznaczają, że koniec jest już bardzo bliski...

– Będziemy musieli wykonać sekcję – dodał Hansen. – Nieczęsto zdarza się, by trąd uderzył do środka. W tym akurat przypadku sędzę, że uszkodzeniu uległy nerki i wątroba. Proszę zwrócić uwagę na plamy na twarzy i rękach.

Skórzewski skinął głową, przyjmując diagnozę do wiadomości. Nieoczekiwanie chory otworzył szerzej oczy i popatrzył na niego. Spojrzenie miał błędne.

– Dorwijcie go i zabijcie – powiedział zupełnie wyraźnie, a potem wzrok zgasł mu jak zdmuchnięta świeca.

Twarz wydawała się zapadać do środka, mięśnie uległy zwiotczeniu, dziwny grymas, wykrzywiający dotąd jeden kącik ust, ustąpił. Dolna szczęka powoli opadła. Doktor Hansen zamknął zmarłemu oczy.

– Odczuwał bóle? – zapytał Skórzewski, wyjmując niewielki notatnik.

– Tak. Jednak stracił czucie w zaatakowanych narządach. Lepra uderza zawsze najpierw w system nerwowy. Niech pan się położy, sekcję zrobimy jutro.

Polak wrócił do swojego pokoju. Starannie mył ręce i włosy, ale ciągle nie mógł pozbyć się natrętnego wrażenia, że choroba na dobre przyłgnęła do jego skóry. Wiedział, że ryzyko zarażenia jest minimalne, ale nie mógł opanować lęku. Idąc spać, ponownie zauważył ciemną postać na chodniku po drugiej stronie ulicy. Zamknął oczy, aby odpędzić złudzenie. Gdy je otworzył, widać było tylko tumany śniegu przepędzane wiatrem po trotuarze.

– Cholerne zwidy – mruknął.

*

Późny zimowy ranek odpędził nocne mary. Skórzewski stanął w drzwiach i oddychał głęboko, chłonąc lodowate powietrze. Po drugiej stronie ulicy teren wznosił się, dochodząc do lasu. Granitowy masyw górował nad miastem. Na dziedzińcu panował porządek. Tylko w kącie pod ścianą spoczął jeszcze jeden podłużny kształt. Szare płótno upstrzone było ciemniejszymi plamami, krew przesiąkła, gdy go nieśli. Powierzchnia materiału pokrywała się już szronem.

Doktor ruszył przed siebie ścieżką posypaną popiołem i wszedł do budynku. Nieduża sień, wyłożona kamiennymi płytami. Kilka par drzwi. W które zapukać? Usłyszał odgłos kroków. Odwrócił się i zobaczył Armauera schodzącego ze schodów.

– Witam, widzę, że już pan wstał?

– Przepraszam, chyba zasnęłam...

– Ależ nic nie szkodzi. Po takiej podróży musiał pan wypocząć... Zrobiliśmy rano sekcję z Danielsenem.

– I jak wyniki?

– Faktycznie, nietypowe nacieki na wątrobie. Wsadziliśmy próbki w spirytus, potem to spokojnie obejrzymy. A na razie zapraszam. – Hansen pchnął solidne dębowe drzwi, zaopatrzone w kilka żelaznych rygli.

Weszli do dużego, wysokiego na dwie kondygnacje pomieszczenia. Po prawej ciągnęły się drzwi prowadzące do niewielkich pokojów. Chorzy snuli się pod ścianami, kilku siedziało przy stole, czytało lub słuchało starszej kobiety czytającej Biblię. Salę obiegała galeryjka, z której można było wejść do izb na piętrze.

– W tej chwili przebywa tu osiemdziesięciu pacjentów – powiedział gospodarz. – Część z nich nie jest już w stanie się poruszać, tych umieściliśmy na dole. Zajmuje się nimi, poza nami, jeszcze pięć osób personelu.

– To wystarcza?

– Największe problemy mamy z częstą zmianą opatrunków. Pacjentom staramy się zapewnić minimum rozrywki, niezbędnej do walki z apatią, ale większość jest niepiśmienna.

Chorzy, słysząc głosy przy wejściu, powoli zwrócili twarze i z melancholią patrzyli na lekarzy. Skórzewski wzdrygnął się mimowolnie, widząc narośla, obrzęki i rany na ich obliczach. Hansen wyprowadził go do sieni.

– Trudno przywyknąć – westchnął. – Choć dla mnie dużo gorsza jest świadomość, że oni wszyscy już w zasadzie nie żyją. Jeszcze chodzą, jeszcze myślą, ale na dobrą sprawę już ich nie ma. – Strzelił palcami. – Od początku istnienia tego leprozorium prowadzone są badania nad różnymi lekami...

– I ciągle bezskutecznie?

– Nie tracimy nadziei.

Przeszli do niewielkiego laboratorium. Doktor Danielsen siedział przy mikroskopie i w zadumie patrzył przez okular.

– Jak wyniki histopatologii? – zapytał Armauer.

Stary lekarz powoli kiwnął głową. Zmienił szkiełko z preparatem na inne. Przez chwilę notował obserwacje w zeszycie.

– Są wszędzie. W nerkach, w wątrobie. Jelita praktycznie czyste. Miałeś rację, uderzyło do środka.

– Mogą mi to panowie wyjaśnić? – zagadnął Skórzewski.

– Ale oczywiście. – Uśmiechnął się Danielsen. – Pacjent, który zmarł w nocy, cierpiał na jedną z odmian...

– Nie ma odmian – zaprotestował Hansen. – To wszystko wywołane jest przez takie same bakterie.

Staruszek skinął głową, niechętnie przyznając mu rację.

– Cierpiał na stosunkowo rzadką postać lepry. Zazwyczaj mamy do czynienia z trądem pełnoobjawowym. Na ciele chorego pojawiają się pląty niewrażliwej na ból skóry, powstają zgrubienia, guzy, potem niegojące się rany. A czasem choroba uderza do środka...

Z szafki wyjął słoik z nerką zanurzoną w lekko zażółconym spirytusie.

– Proszę zwrócić uwagę. Trąd naciekł na ten narząd, posuwając się śladem włókien nerwowych. Tkanka uległa częściowemu rozkładowi. Zazwyczaj lepra toczy człowieka przez kilkanaście miesięcy, by nieoczekiwanie w ciągu kilku tygodni przebić się na zewnątrz, dając pełnoobjawową postać choroby. Ponieważ jako pierwsze porażeniu ulegają nerwy, pacjent najczęściej nie odczuwa bólu...

– Wczoraj...

– Jak już mówiłem, z tamtym biedakiem była trochę inna sprawa. Bakcyle uszkodziły mu narządy wewnętrzne, upośledziły ich funkcje. Ból spowodowany był przez zatrucie ustroju szczawianem wapnia i mocznikiem. Niech pan zerknie przez mikroskop – zachęcił go.

Skórzewski zdjął okulary i spojrzał. Zobaczył preparat wykonany, jak mu się wydało, z fragmentu nerwu rdzeniowego. W licznych miejscach widać było niewielkie, ciemne, sztabkowate twory. Poruszały się leniwie. Widział je po raz pierwszy w życiu. A więc to z tym będzie walczył...

– To właśnie nasz wróg – wyjaśnił Hansen.

– Ciągle żyją?

– Wyizolowane, nawet dwie doby po śmierci chorego. Zabija je karbol, spirytus oraz wysoka temperatura. Próbuje się stosować różne substancje i badamy ich żywotność...

– Nasi lekarze, na wieść o pańskim odkryciu, usiłowali powtórzyć obserwacje, ale zamiar ten się nie powiódł...

Danielsen uśmiechnął się cierpko.

– Czy przyznali się, którą część naszej metody zlekceważyli? Po pańskiej minie widzę, że nic pan nie wie. Po prostu kąpiemy nasze preparaty w roztworze, zawierającym odrobinę atramentu. Bakterie trądu absorbują barwnik lepiej niż inne tkanki. To wynalazek naszego drogiego Armauera...

Hansen uśmiechnął się zażenowany, ale w jego oczach błysnęła duma.

– Wpadłem na to zupełnie przypadkiem – przyznał.

– Barwienie preparatów większość szkół uznała za metodę nienaukową – zauważył Skórzewski. – W Rosji wprost zakazano jej stosowania.

– Owszem, słyszeliśmy o tym. Ale skoro działa... Dla nas bardziej liczą się wymierne korzyści niż zarzuty hochsztaplerstwa medycznego czy kurfuszerstwa. – Uśmiechnął się Danielsen.

Paweł raz jeszcze zapatrzył się w okular mikroskopu. Bakterie ruszały się jakby trochę wolniej.

– Jak długa jest ich żywotność poza ustrojem? – zapytał. – Mam na myśli w próbkach tkanki.

– Około siedmiu, ośmiu dni. Podejrzewam jednak, że w sprzyjających warunkach mogą przetrwać dłużej – powiedział Hansen.

– Zaobserwowaliście, aby się mnożyły?

– Niestety, nie. Albo nie są w stanie dokonać tego, gdy pacjent nie żyje...

– ...albo mnożą się zbyt wolno, abyśmy mogli to zaobserwować – wszedł mu w słowo Danielsen. – Zważywszy na bardzo długi okres inkubacji, nie jest to wykluczone.

Pchnął drzwi w końcu pomieszczenia. W niewielkiej sali na warstwie trocin poruszało się kilka sporych zwierząt. Na głos kroków zwróciły w stronę drzwi ostre ryjki.

– Pancerniki – stwierdził ze zdumieniem Skórzewski.

– Klucz do zagadki choroby – powiedział poważnie Armauer. – Zaobserwowano to w leprozoriach w Meksyku. Trąd ludzki daje się szczepić tylko na tych zwierzętach. Tu mamy zdrowe. Te, które postanowiliśmy zarazić, trzymamy na razie w innej części szpitala. Niestety, klimat wyraźnie im nie służy. W dodatku są problemy z karmieniem. Odżywiają się owadami i drobnymi gryzoniami.

Na zewnątrz zachichotał wiatr.

– Po południu przejdziemy do Bryggen – poinformował Hansen. – Zobaczysz to pan od strony praktycznej.

Paweł skłonił głowę.

*

Chory siedział na krześle przed trójką lekarzy. Połowę oblicza wykrzywił mu potworny grymas.

– Mamy tu raczej nietypowy objaw – wyjaśnił Danielsen. – Na skutek zakażenia tkanki nerwowej nastąpiło porażenie prawego nerwu twarzowego.

Skórzewski założył rękawiczki, zamoczył dłonie w misce z roztworem karbolu, a potem ostrożnie obmacał głowę pacjenta.

– Faktycznie – powiedział. – Miewamy podobne przypadki w Pskowskiej Guberni.

– I co zalecali tamtejsi lekarze? – zaciekawił się Hansen.

– Cóż. Lekarzy tam akurat niewielu. Zwłaszcza po wsiach ludzie ich nie lubią. Po ostatniej epidemii cholery doszli do wniosku, że to właśnie lekarze roznoszą zarazę. Moją kolegę ledwo żywego wydobyliśmy ze studni. A znachorzy stosują dwie metody. Średniowieczną, polegającą na zakopaniu po szyję w ziemi lub w końskim nawozie, w nadziei, że wyciągnie chorobę.

– Straszna ciemnota – mruknął Danielsen.

– Nie zapominajmy, kto twierdził, że trąd jest chorobą dziedziczną. – Uśmiechnął się Hansen.

Staruszek wyraźnie się zmieszał.

– Druga metoda, nowocześniejsza, polegała na wielogodzinnym moczeniu chorego w prawie wrzącej wodzie. Na beczce pisano zaklęcia...

– To pomagało? – zapytał Hansen z błyskiem w oku.

– Co najdziwniejsze, na jakiś czas tak.

– To można łatwo wyjaśnić. Jak wynika z naszych badań, bakcyl lepry ginie w temperaturze nieznacznie niższej niż umiera ludzka tkanka. Jeśli temperatura była odpowiednio dobrana, bakterie mogły częściowo obumrzeć, podczas gdy organizm ludzki mógł jeszcze wytrzymać. Oczywiście nie wszystkie, więc po pewnym czasie następował nawrót choroby. Może gdybyśmy byli w stanie ogrzać ciało człowieka w całej objętości do odpowiedniej temperatury... – Rozmarzył się.

– Co należy zrobić w tym przypadku? – Paweł wskazał na pacjenta, który cały czas siedział nieporuszony na krześle.

– Teoretycznie można wykonać nacięcie w tym miejscu. – Danielsen wskazał ołówkiem punkt na licu trędowatego. – Po przecięciu obu porażonych nerwów, twarz wróci prawie do pierwotnego wyglądu. Tylko że pożytek z tego niewielki, bo nastąpi obustronny paraliż.

– Widzę, że stosują panowie najnowsze osiągnięcia medycyny. – Skórzewski obejrzał kolekcję butli z kwasem karbolowym.

Hansen kiwnął poważnie głową.

– Teorie doktora Listera znalazły swoje potwierdzenie. Rozpylanie karbolu wokół pola operacyjnego drastycznie zmniejsza liczbę powikłań.

Odprawił pacjenta gestem. Po chwili wszedł następny. Temu częściowo zapadł się nos, co nadawało twarzy wyjątkowo odstręczający wygląd. Trąd zaatakował też dłonie. Hansen powiedział coś po norwesku, chory wyciągnął ręce. Rany po palcach częściowo się zabiłiły. Lekarz wziął długą szpilę oprawioną w drewno i ostrożnie nakłuwał kikuty.

– Fatalnie – powiedział. – Kuracja zachowawcza nie daje skutku.

– Co zastosowaliście? – zapytał Paweł, wyjmując notes.

– Preparat chininowo-arszenikowy. Bakcyle prawdopodobnie początkowo zostały zmuszone do odwrotu, ale teraz widocznie przyzwyczyły się do zmienionych warunków. Rany otwierają się znowu.

– Osteoliza? – zapytał Skórzewski.

– Właśnie. Osteoliza. Paliczki rozsypują się na kawałki. Normalną tkankę zastępuje coś w rodzaju chrząstek... Tak to wygląda. – Danielsen z szuflady wyjął szklane pudełko z wypreparowanymi kośćmi dłoni.

– Może ubytek wapnia dałoby się zahamować? – zauważył Polak. – Preparaty można podać doustnie.

– Potrafi je pan przygotować? – W głosie Hansena słychać było zaniepokojenie.

– Oczywiście.

– W takim razie oddamy panu do dyspozycji nasze laboratorium.

– Powinniście go odnaleźć i zabić – powiedział trędowaty. – Ja już nie żyję, ale jego musicie dopaść...

Wszedł.

– Zapadanie się nosa, czyżby wcześniej chorował na syfilis? – zapytał Skórzewski kolegów.

– Nie. Czasami trąd atakuje tkankę chrzęstną i błony śluzowe. To powoduje rozkład przegrody nosowej i zmiany kształtu tego organu. Często tą drogą, wzdłuż nerwów węchowych, bakterie wędrują do mózgu. A wtedy śmierć następuje w ciągu kilku dni.

– A nie zdarzało się, by zaatakował oczy i przesunął się po nerwie wzrokowym?

– Jak do tej pory nie.

– Kogo oni chcą zabijać? – zaniepokoił się Polak. – Ktoś ich celowo zaraża? To chyba niemożliwe.

Stary uśmiechnął się lekko.

– Legenda. Idiotyczna legenda. Nie ma o czym mówić.

Po minie Hansena widać było, że on akurat chce o tym powiedzieć, ale wymowne spojrzenie kolegi skutecznie mu w tym przeszkodziło.

– Nie zdołaliśmy na sto procent udowodnić, jakimi drogami przenosi się trąd – powiedział Armauer. – Przypuszczamy, że przez bakterie obecne w wydzielinach chorych, więc celowe zarażenie, choć bardzo trudne, jest chyba wykonalne. Nie wykluczamy także możliwości podróżowania bakcyli na kroplach pary wydychanej przez chorych wraz z powietrzem, ale tego na razie nie udało się potwierdzić.

Paweł poczuł, jak po kręgosłupie spływa mu lodowata kropla potu.

*

Armauer Hansen zabrał gościa na obiad do niewielkiej, cichej jadłodajni nieopodal szpitala. Lokal urządzono w starym, drewnianym domu. Część ścian usunięto, pozostawiając jednak podpierające strop słupy. Gdy weszli do środka, sala była nabitą niemal do granic wytrzymałości.

– Chyba nie ma wolnego miejsca – zauważył Skórzewski.

– Spokojnie, zaraz będzie.

Po chwili, faktycznie, zaczęło robić się luźniej, a po następnych kilku minutach połowa izby opustoszała. Siedli przy zwolnionym stoliku. Podeszła kelnerka i podała kartę. Armauer zamówił gulasz z renifera i zupę rybną. Dziewczyna pospiesznie zniknęła.

– Dlaczego tak nagle wyszli? – zaciekał się Polak.

Hansen uśmiechnął się szeroko.

– Zgadnij.

Paweł przez dłuższą chwilę się zastanawiał, a potem wzruszył ramionami.

– Oczywiście dlatego, że uważają nas za nieczystych, uciekają od nas jak od chorych, zakażonych zwierząt – wyjaśnił doktor Hansen beztrąsko. – Zresztą, nie ma co się dziwić.

– Właściciel restauracji nie wezwie na pomoc kilku sąsiadów i nie wyrzuci nas?

– Nie. Ja jestem właścicielem. To jedyne miejsce w Bergen, gdzie mogę spokojnie zjeść. Z innych restauracji i tawern faktycznie by mnie natychmiast wyproszono. Nie ma to jak zła sława – westchnął.

– W leczeniu nie uzyskaliście dotąd poważniejszych efektów... – Paweł powrócił do nurtujących go pytań.

– Preparat chininowo-arszenikowy nie poskutkował, ale to nie znaczy, że nie zadziała ten następny. Opracowałem nową recepturę. Na bazie rtęci. Skład chemiczny trochę podobny do tego środka, którym leczy się syfilis...

– To bardzo rujnuje organizm...

Kelnerka przyniosła dwa kieliszki anyżówki i małe paszteciki na przystawkę. Stuknęli się nad stołem i wypili. Zagryźli pasztecikami.

– Doktor Artur Mouritz z kolonii dla trędowatych w Moloukai usiłował nacierać chorych preparatem z galaretki aloesowej i kodeiny. Uzyskał znaczącą poprawę stanu ran.

– Hansen podjął przerwana rozmowę.

– Może warto spróbować?

– Spróbuję, ale mam problem z aloesem. Nie daje się go konserwować, a nie wytrzyma w naszym klimacie nawet w doniczkach. Moi przyjaciele w Ameryce usiłują wyodrębnić z jego łądyg wyciąg, odpowiedzialny za przyspieszanie procesów gojenia. Może uda się go przechowywać?

– A maść ergotaminowa?

– Nie znam – ożywił się. – Co potrzeba? Gliceryna...

– Miesza się na gorąco glicerynę z woskiem i wyciągiem ze sporysza. Wyniki są dość zachęcające, choć w dziedzinie leczenia trądu nie odnieśliśmy jak dotąd poważniejszych sukcesów.

Kelnerka wniosła zupę i znowu uciekła.

– Faktycznie, traktuje nas jak zapowietrzonych – zauważył Paweł.

– Aha. Normalna reakcja, nie ma się czemu dziwić. Lepra była tu odbierana jako kara za grzechy, dopiero niedawno ludzie zrozumieli, że jest to choroba. Teraz wie o tym nawet mój pryncypał.

– Widziałem, jak się zmieszał... Dlaczego aż tak mocno zareagował?

– Cóż. Wysunął w młodości teorię... że jest to zaraza rodzinna. Danielsen dwadzieścia razy usiłował zaszczepić trąd na sobie. Ponieważ mu się nie powiodło, doszedł do wniosku, że musi być wrodzony. Zmienił zdanie po wprowadzeniu rządowego programu zapobiegania. Po odseparowaniu chorych w leprozoriach, w ich rodzinach jeszcze przez pięć lat pojawiały się przypadki choroby. Potem się skończyły...

– Pięć lat to okres inkubacji – mruknął Paweł.

Zupa była bardzo smaczna.

– W naszym klimacie. Mieliśmy przypadki wystąpienia choroby już po dwu latach od zakażenia czy też domniemanej daty zakażenia. Lekarze z Moloukai twierdzą, że trąd może inkubować w organizmie około siedmiu lat. Może ma tu wpływ rasa albo klimat?

– Kanacy z Hawajów są odporniejsi?

– Trudno ocenić. Chyba nie, bo zaraza przywleczona przez chińskich *chodia* kosi ich strasznie. Tyle tylko, że dłużej rozwija się w ich ciałach.

Dziewczyna zabrała puste talerze po zupie i przyniosła gulasz.

Po chwili z zaplecza dobiegł dźwięk tłuczonej kamionki.

– Rozbijają talerze, z których jadłem – powiedział Hansen. – Dzięki temu klienci czują się trochę pewniej. O czym to ja? Ach, tak. Program zakładał izolację wszystkich chorych i okresowe badania członków rodzin oraz mieszkańców wsi, w których wystąpiła choroba. Sporządziliśmy specjalne wykazy dla każdej prowincji. Izolacja przynosiła początkowo wspaniałe efekty. W 1830 roku zanotowaliśmy dwa tysiące przypadków, w 1850 już tylko tysiąc dwieście. W 1870 nieco ponad trzysta. W pięć lat później tysiąc siedemset.

Skórzewski gwizdnął.

– Tak nagły skok ilościowy? Jak to możliwe?

– Ulepszyliśmy metody wykrywania. Mój uczeń Nilsen opracował pewien test... Po prostu wcześniej sporo przeoczyliśmy. Przynajmniej taką mam nadzieję – mruknął ciszej po norwesku i zamyślił się.

– Gdzie pojawiały się te nowe przypadki?

– Głównie tu, w Bergen – westchnął. – Jak na złość...

– Może w pobliżu centrum badań wykrywalność jest największa?

– Nie. Przeszkoliliśmy dwustu lekarzy. Mamy spisy rodzin, których członkowie chorowali na trąd w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. Wszyscy oni są badani raz w roku. Kontrolnie bada się także innych. Oczywiście, nasze działania wywołują spory opór. Ludzie się boją...

Dojedli i wypili po kieliszku wina. Wreszcie wstali i ruszyli do wyjścia.

– Powinniście go odszukać i zabić – powiedział stojący przy drzwiach stary marynarz.

Tym razem Hansen nie wytrzymał.

– To bzdura – krzyknął.

A potem wygłosił dłuższą tyradę po norwesku, zbyt szybko, by Skórzewski mógł choćby częściowo wyłapać sens wyrzaskiwanych wyrazów. Z pewnością część z nich była obelżywa.

– Przepraszam – powiedział, gdy wyszli na ulicę. – Już nie mogę.

– Kogo mamy zabić? Czego chcą ci ludzie? – zapytał Paweł.

– Wmówili sobie, że gdy doktor Danielsen założył tu ośrodek badań nad trądem, przybył demon tej choroby, by obserwować nasze poczynania. Krąży po mieście i zaraża. Faktycznie, w zeszłym roku odnotowaliśmy dwadzieścia nowych przypadków. W tym roku już trzydzieści sześć.

– Próbowaliście nanosić je na plan miasta? Może w grę wchodzi tu jakiś inny czynnik? – zagadnął Paweł. – Może zakażenie żywności z jakiegoś sklepu lub ujęcia wody pitnej.

– Najwięcej przypadków odnotowaliśmy w dzielnicy Bryggen. Właściwie prawie wszystkie.

– Co to za miejsce?

– Właśnie tam idziemy. – Uśmiechnął się Armauer. – Sam zobaczysz.

Minęli kościół i wyszli na nadbrzeże. Od zatoki wiał przenikliwy, lodowaty wiatr. Paweł szczelniej zawinał się w kożuch. Obok ciągnęły się drewniane, wysokie, wąskie budynki. Na parterach najczęściej były sklepy, wyżej światła w oknach świadczyły, że i tam mieszkają ludzie.

– Stara portowa dzielnica, założona jeszcze za czasów niesławnej pamięci Hanzy – wyjaśnił Hansen. – Tędy.

Skręcili w wąski, wyłożony drewnem zaułek, wgrzyzający się między domy. Szli coraz dalej, potem weszli w przecznice. Przed nimi otwierały się przejścia i pasáže w głąb labiryntu.

– Mamy związane ręce – westchnął Hansen nieoczekiwanie. – Z całą pewnością spora część żyjących tu ludzi jest chora. Gdybyśmy mogli wygonić ich wszystkich na plac i zbadać jednego po drugim... Ech. Na szczęście coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę z tego, czym jest trąd.

Zatrzymali się przed bocznym wejściem do jednego z domów. Hansen zastukał w drzwi. Zaraz im otworzono. W sieni było dość ciemno, ale po chwili ktoś pchnął drzwi, prowadzące w głąb domu. W następnym pomieszczeniu płonęło kilkanaście świec.

– Lars Olafsen, handel rybą – przedstawił się gospodarz, ściskając Skórzewskiemu dłoń.

Nie musiał się przedstawiać. Woń suszonych tusz dorszowych wgrzyła się nawet w ściany...

– Paweł Skórzewski.

– Rosjanin? – zaciekał się kupiec.

– Polak – sprostował Paweł z godnością.

– Lekarz – wyjaśnił Hansen. – Przyjechał do nas poznać metody walki z chorobą.

– Zapraszam dalej.

Weszli po wąskich schodkach na piętro. Wnętrze domu stanowiło plątaninę niewielkich pomieszczeń, schodków prowadzących w górę i w dół. We wszystkich pokojach w podłodze i na suficie umieszczono niewielkie, drewniane klapy.

– Po co to? – zagadnął Skórzewski.

– Na wypadek pożaru – poważnie wyjaśnił właściciel. Mówił po niemiecku niemal bez akcentu. – Przed stu laty żywioł ognia pochłonął większą część miasta. Dlatego z prawie każdego pomieszczenia są dwa wyjścia. Domy są też połączone, aby w razie czego można było uciekać przez sąsiedni.

Paweł pokiwał głową i o nic już nie pytał. Przeszli do niedużej izby z oknem wychodzącym na port. Gospodarz zapalił kilka świec i w pokoju pojaśniało. W jedną ze ścian wpuszczone było łóżko, zasłonięte podniesioną w tej chwili klapą. Druga umożliwiła przejście z łoża do kolejnego zapewne pomieszczenia. Nawet gdyby pożar zaskoczył ich we śnie, są gotowi do ucieczki... Skórzewski już wiedział, dlaczego tu nie używa się lamp naftowych. Weszła gospodyni, wysoka, z pięknym, rudym warkoczem, wniosła parawan z rzeźbioną ramą i postawiła go pod jedną ze ścian. Armauer wyjął z torby kilka strzykawek, pudełko z jakimiś szpilkami oraz parę nicianych rękawiczek i miskę. Nad płomieniem palnika spirytusowego starannie opalił igły w drewnianych oprawkach.

– Poprosimy pierwszych pacjentów – powiedział do kupca.

– W takim razie ja pierwszy. – Lars uśmiechnął się lekko, po czym zniknął za parawanem. Wyszedł po chwili prawie nagi

Armauer patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Skórę kupca pokrywały piegi, ale po za tym nie budziła podejrzeń.

Kiwnął głową.

– Panu nic nie dolega...

Olafsen ubrał się i wyszedł. Po chwili pojawiła się jego żona. Rozebrała się, stanęła przed lekarzami w samej bieliźnie. Na łopatce miała dziwną, różową plamę. Hansen przypatrywał się jej przez chwilę, a potem sięgnął po igłę.

– To stara blizna po oparzeniu – zaprotestowała.

– Panie kolego... – zwrócił się do Pawła. – Proszę nakłuć kilka razy na głębokość trzech milimetrów.

Sam stanął przed kobietą i wbił spojrzenie w jej twarz. Skórzewski przesunął igłą nad płomieniem świecy i delikatnie ukłuł jej skórę. Pisnęła. Powtórzył w innym miejscu. Tym razem cicho krzyknęła.

– Jest reakcja źrenic – powiedział spokojnie Hansen – Bolało ją.

– Pewnie, że bolało – jęknęła po norwesku. – Oprawcy!

– Proszę się nie obrażać. – Hansen spróbował się uśmiechnąć. – Musieliśmy sprawdzić.

Po chwili jej miejsce zajęła piętnastoletnia córka gospodarza. Wstydziła się bardzo, ale doktor już po chwili machnął ręką. Na jej ciele nie było widać żadnych podejrzanych znamion. Następną była młoda, może trzynastoletnia służąca. Na małej, nierozwiniętej jeszcze piersi miała kilka niewielkich, białawych plamek. Hansen nakłuwał je ostrożnie szpilą. Dziewczynka nawet nie drgnęła. Zagryzł wargi.